

Piłkarska refleksja

Za sprawą rygorów spowodowanych pandemią, dłużej przebywamy w swoich mieszkaniach. Ile można sprzątać, układać, naprawiać i robić wiele innych rzeczy, za które zawsze trudno się było zabrać - czasami za sprawą zmęczenia, czasem za sprawą braku czasu, ale zawsze niechętnie.

Szukamy sobie zajęcia i tu z pomocą nam - kibicom - przychodzą programy sportowe, gdzie możemy bez końca oglądać ulubione mecze piłkarskie. Jestem z tego pokolenia kibiców, które zaczęło kibicowanie w wieku chyba przedszkolnym. Już w latach 60-tych ubiegłego wieku chodziłem z Ojcem na mecze mojego Górnika Zabrze i do dziś pamiętam atmosferę tych meczowych dni. Oczywiście każdy mecz od kilku dni wcześniej obwieszczały plakaty i kiedy wreszcie przychodziła meczowa niedziela, wszystko było podporządkowane temu wydarzeniu.

Mecze rozgrywano wczesnym popołudniem, co wymagało wcześniejszego przygotowania przez Matkę obiadu. Potem, z gazetą „pod pupę” szliśmy w strumieniu kibiców ulicą Roosevelta na stadion przy ulicy Damrota. Chodziliśmy ponad dwie godziny przed meczem z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że miejsca nie były numerowane i lepiej było nie mieć przed oczami siatki ogrodzenia dzielącej bieżnię od widowni. Ponadto, za sprawą pory popołudniowej, dobrze było usiąść „nie pod słońce”, bo wtedy trudno było coś dojrzeć. Przed meczem był tzw. „przedmecz” drużyn młodzieżowych, czy „trampkarzy”, aby było na co patrzeć przed wielkim meczem. Potem już tylko mecz a na murawie Oni: w bramce - Kostka lub wcześniej - Machnik, w obronie – Franosz, stoper - wielki do dziś Stanisław Oślizło, Gorgoń i Hajduk, w pomocy – Szołtysik, Gawlik lub Olejnik czy Kowalski, w ataku od lewej – Roman Lentner, Kowal, Wielki Ernest Pohl, potem młodziutki Lubański, Jankowski, Wilczek i wielu innych, i tak przez całe lata historii 14-krotnego Mistrza Polski! Pamiętamy te nazwiska, bo po pierwsze długo byli z nami a ponadto, byli nasi - najdalej z Raciborza, Wodzisławia, czy Chropaczowa.

Po meczu - zazwyczaj przez Górnika wygranym - wracaliśmy do domu, aby zakończyć niedzielę „bohnkową” z babką jedzoną w dymach Ojcowskiego cygara.

W tygodniu spotykaliśmy naszych piłkarskich bohaterów na ulicy, w tramwaju, bo nie wszyscy mieli samochody. Marzeniem każdego chłopca było chociaż spotkać piłkarza, bo mody na gadżety i autografy jeszcze nie było. Łatwiej było spotkać kogoś z rodziny piłkarza.

Pamiętam opowieści Ojca, który był sztygarem na Kopalni „Zabrze-Wschód”, gdzie w tym samym oddziale pracował, również jako sztygar, ojciec Jana Kowalskiego - pomocnika Górnika. Jego rytuał poniedziałku był standardowy, czyli oświadczał, że zapomniał „breli” i kazał, sobie i nie tylko sobie, na głos (!) czytać relację z meczu w „Sporcie” - oczywiście tylko wtedy, kiedy dzień wcześniej Górnik wygrał a syn Pana Kowalskiego zagrał doskonale – co było zresztą standardem.

Ja piłkarza „z bliska” dotknąłem dopiero jako uczeń Technikum Górniczego, gdzie kilku piłkarzy Górnika „zdobywało” dyplomy technika górnika. Kiedy po latach, na obchodach 75-lecie szkoły, dzieliłem się wspomnieniami ze szkolnych lat, powiedziałem, że piłkarze Górnika byli dla mnie źródłem olbrzymiego kompleksu. Wydawało mi się, bowiem, że najgłupszy w szkole nie byłem i nie rozumiałem, dlaczego przeciętny gracz Górnika zaczynał szkołę rok po mnie i kończył dwa lata przede mną - a ja potrzebowałam aż 5 lat żeby zdobyć upragniony dyplom technika. Dziś rozumiem.

Kolejny epizod piłkarski miałem już jako sztygar zmianowy oddziału wydobywczego, kiedy w swojej „szychtownicy” widziałem kilka nazwisk piłkarzy Górnika, ale ich samych na „felezunku” nigdy nie spotkałem.

Potem przyszedł kryzys piłkarski w moim Górniku a mnie praca i rodzina skutecznie wyłączyła z kibicowania. Aż w roku 1996 leciałam samolotem z Warszawy do Katowic z Prezydentem Kwaśniewskim i, siedząc razem w sześćosobowej kabinie, Prezydent zapytał mnie o Górnika Zabrze. Odpowiedziałem, że nie jest źle - nic głupszego nie mogłem powiedzieć. Prezydent wypomnił mi trzy ostatnie - zresztą przegrane - mecze Górnika. Do tego wiedział z kim i ile przegrali! Ja nie wiedziałam nic. Skończyło się kilkoma słowami dobrodusznego zwątpienia i jednoznaczną dyspozycją: „Jurek, zajmij się tym Górnikiem. W końcu jesteś ministrem od górnictwa”.

Przyznam szczerze, że nie wiedziałem, co mam zrobić - zresztą nie trzeba było, bo Prezesem był Stanisław Płoskoń, który sam wiedział najlepiej, co ma robić. Zostało mi tylko chodzić na mecze, gdzie siedząc przez kilka lat obok profesora Zbigniewa Religi (obaj byliśmy senatorami z Zabrza), stale Go pytałem o nazwiska piłkarzy - oczywiście Górnika. Kulminacją znecierpliwienia Senatora Religii była jego dyspozycja: „Jurek, umów się na kawę z doktorem Zygfrydem Wawrzyńkiem. On o Górniku wie wszystko i może cię czegoś

nauczy”. Nie poszedłem, ale dałem sobie spokój z zapamiętywaniem nazwisk piłkarzy mojego Górnika, wśród których sześciu było czarnoskórych i tylko jeden mówił że „gro w fusbal”, bo pozostali grali w piłkę...

Tak na własnej skórze prześledziłem historię klubu, który był drużyną a dziś jest firmą dowodzoną na szczęście przez autentycznego patriotę zabrzańskiego klubu - Dariusza Czernika - synka z Damrota - dziś Prezesa Klubu oraz doskonałego trenera - Marcina Brosza - zresztą syna mojego kolegi z kopalni, gdzie obaj byliśmy sztygarami.

Dziś, kiedy oglądam mecze firm piłkarskich i czytam, że kapitan mojego ulubionego hiszpańskiego klubu jest oburzony, że teraz, kiedy nikt nie chodzi na stadiony, chcą mu obniżyć pensję „aż” o 10% z pensji 12 milionów euro na rok, widzę jak wiele i jak tanio dostaliśmy my - kibice od Cieślaka, Szymkowiaka, Liberdy, Pohla i wielu innych Wielkich Piłkarzy, którzy grali przede wszystkim dla nas, bo byli nasi!

Jerzy Markowski